

Paczkowski, Andrzej

"Krew na pierwszej stronie :
sensacyjne dzienniki Drugiej
Rzeczypospolitej", Wiesław Władyka,
Warszawa 1982 : [recenzja]

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 22/3, 90-94

1983

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

różnych okresach blisko 600 tytułów czasopism oświatowo-pedagogicznych. Załączone indeksy wydawców ujawniają liczne instytucje, uczelnie, związki i organizacje społeczne, zaś indeks miejscowości wskazuje na główne ośrodki wydawnicze (Kępa, Warszawa, Lublin, Płock, Warszawa).

Recenzowana bibliografia może wywołać wiele dyskusji i sporów. Ważne jest jednak, że nie ma tu miejsca na to, co się spiera. Autorem należy pogratulować pomysłu i jego realizacji.

Jerzy Jarowiecki

Wiesław Władyka, *Krew na pierwszej stronie. Sensacyjne dzienniki Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1982, ss. 295, ilustr.

Polska historiografia powoli (może nazbyt powoli?) przystępuje do „spotkania drugiego stopnia” z prasą okresu międzywojennego. Pierwszej fazie badań, prowadzonych w sposób mniej więcej ułagodzony i zorganizowany od początku lat sześćdziesiątych, za cel główny przyświecało opisanie ilościowe oraz próby odtworzenia infrastruktury prasowo-wydawniczej: stosunków własnościowych, nakładów, składów redakcji, filiacji politycznych. Zajmowano się głównie mechanizmami wewnętrznymi poszczególnych pism (lub ich grup), ich sprzężeniami ze światem politycznym, snuto przypuszczenia na temat zasięgów oddziaływania. Bardzo rzadko, zasadniczo tylko w odniesieniu do pojedynczych pism (i to z reguły w pewnym tylko wycinku czasowym), podejmowano próby penetracji w głąb — analizy wartości i treści. Wprawdzie wiele jeszcze zostało do zrobienia także „na powierzchni” — dotychczasowe badania częściej ujawniają nowe pola poszukiwań, niż je zamykają — ale nie powinno to hamować podejmowania nowych kierunków badawczych. Być może zwiastunem pewnego zwrotu jest fakt (publikowania w krótkim odstępie czasu dwóch książek stanowiących najpoważniejsze, jak dotąd, wycieczki w ten *no man's land* historyków: pracy doktorskiej Oskara S. Czarnika¹ i recenzowanej tu rozprawy habilitacyjnej Wiesława Władyki.

Nie zamierzam ich porównywać (byłby to zresztą zabieg raczej trudny), więc wspomnę tylko, że książka O.S. Czarnika, stanowiąca w zasadzie całościową, w znacznym stopniu zamkniętą analizę, nie pozbawioną ambicji uogólniających i komparatystycznych, oparta jest na wysoce wysubtelnionych narzędziach badawczych, czemu sprzyja fakt, iż wyszła z nowoczesnego warsztatu historyka literatury, którego ważną częścią jest daleko zaawansowana teoria. Szczegółowość analizy tekstów umożliwiona była przez wybranie paroletniego wycinka; wybór ten nctabene — cezura 1926 r. — nie jest, jak sądzę, uzasadniony samą materią rozprawy Czarnika. Praca Wiesława Władyki ma znacznie większe ambicje, a analiza tekstów jest w niej tylko jednym z fragmentów, ważnym — choćby dlatego, że obejmującym około połowy książki (cała część II) — ale nie jedynym. Oczywiście więc jest, że stopień szczegółowości musiał być zupełnie inny. Władyka operuje raczej przykładami niż analizą całościową, co wynika z wielkości zadania,

¹ O.S. Czarnik, *Proza artystyczna a prasa codzienna (1918—1926)*, Wrocław 1982.

które przed sobą postawił, i z bardzo skąpych możliwości odwoływania się do pojedynczych badań dokonanych przez innych. Jakkolwiek są to okoliczności w wystarczający sposób usprawiedliwiające autora, niemniej wyrwykowość analiz jest dość uderzająca i pozostawia uczucie niedosytu. Najdobitniej częstokroć, by nie rzec: przypadkowy, charakter zaplecza źródłowego analizy treści widoczny jest w rozdziale przedstawiającym miejsce i funkcje sportu w prasie ogólnoinformacyjnej. Poza własną lekturą — właśnie raczej lekturą niż analizą — posługuje się Władysław referatem Wojciecha Lipońskiego, który wszakże operował na polu badawczym nie w pełni pokrywającym się z tym, jakie uprawia w swej książce recenzowany tu autor. Pozostawać więc musi, siłą rzeczy, na poziomie uogólnienia, którego zasadniczo nie sposób porównać z konkretnymi tekstami dotyczącymi sportu, jakie ukazywały się na łamach pięciu badanych przez niego dzienników. Jeżeli można użyć porównań ze sfery wojskowości — a gdy piszę te słowa, są one jak najbardziej na czasie — cała druga część rozprawy Władysława ma charakter „wypadków” na obszar, który chce się spenetrować, a nie frontalnie przeprowadzonego ataku. Raz jeszcze potwierdza to opinię, że obszar ten jest praktycznie niemożliwy do opanowania w pojedynkę czy nawet samotrzeć, że na tę horde papieru nie starczy ani najsprawniej władający bronią Mały Rycerz, ani pewnie i Ich Moście Muszkietierowie by sobie z nią nie poradzili, że musi tu być prowadzona systematyczna praca obłącznicza z użyciem najnowocześniejszych narzędzi badawczych².

Nie zadowala też w pełni (przynajmniej mnie) uzasadnienie wyboru pięciu dzienników, które poddane zostały badaniom. Nie idzie o to, że kwestionuję samo prawo wyboru ani tym bardziej wyselekcjonowanie tych, a nie innych tytułów — należały one rzeczywiście do „wiodących” w badanym okresie — ale o oderwanie ich od całości zjawiska, jakim była prasa ogólnoinformacyjna, nosząca zresztą wiele różnych imion. Chciałoby się we wstępnej części rozprawy znaleźć obraz należycie szeroki polskiej prasy tego typu w całym międzywojniu, a nawet bliższe wskazanie na drogi przekształceń, co można było osiągnąć odwołując się do porównań — nawet także „wypadkowo”-ogólnikowych — z początkami dziennikarstwa sensacyjnego w Polsce przełomu XIX i XX w. Oczywiście, próba statystycznej oceny wielkości samego zjawiska byłaby bardzo trudna do przeprowadzenia, gdyż kryteria wyboru nie są — i nie mogą być — dostatecznie jasne, ale nie chodzi o tabelki czy procenty, lecz o opisanie całości zjawiska, jego zróżnicowania daleko większego niż to, jakie można ukazać operując tylko w kręgu analizowanej wielkiej piątki. Porzucając taką próbę, autor pozbawia więc czytelnika możliwości zdania sobie sprawy z rozległości zjawiska, a także z istnienia takich jego części składowych, w których opcje polityczne czy ideologiczne odgrywały bez porównania mniejszą rolę niż w dziennikach, z którymi zapoznaje nas Władysław (jako przykład można tu podać warszawski „Kurier Codzienny 5 Groszy”).

Oba te zarzuty: przypadkowość analiz treści i brak obrysowania całego pola badawczego są z natury swej „chciewstwem”, przed wymogami którego autor może się łatwo obronić, zwłaszcza że swe decyzje selekcyjne traktuje z pewną dozą elastyczności, uwidaczniającej się m.in. w sięganiu do czasopiśmienniczych komponentów opisywanych dzienników, gdy okazuje się, że były one przedmiotem zakończonych już poszukiwań.

² Na marginesie chciałbym przypomnieć, że próba zbudowania jednego odcinka takiego frontu — w ramach problemu węzłowego „Polska kultura narodowa, jej tendencje rozwojowe i percepcja” — została zastąpiona przez limity i inne udogodnienia biurokratyczne. Jedynym jej owocem stały się (przywoływane przez W. Władysława) opracowania materiałowe W. Morawskiego, J. Rudzińskiego i M. Tóbery.

Natrafiłem w rozprawie Władyki na kilka sformułowań, które wydają mi się niesłuszne lub nie w pełni uzasadnione i wymagają polemik lub uzupełnień. Podejmuje je tu w kolejności, wynikającej nie z hierarchii ważności, a fizycznego miejsca, jakie zajmują w tej ciekawej i szybko znikającej z księgarskich półek pracy.

Pisze więc autor, że pojawienie się — na rynku światowym — prasy sensacyjnej jest m.in. wynikiem zjawiska polegającego na wzroście uczestnictwa w kulturze o nowym kształcie „wielomilionowej publiczności, poprzednio nie biorącej aktywnie udziału w życiu [...] kulturalnym” (s. 5). Godzi się tu zaznaczyć, że publiczność ta była „niekulturalna” tylko w tym znaczeniu, że jej pole kulturowe nie przylegało w ogóle — lub nie dość ściśle — do kultury opierającej się na druku. Miała ona natomiast swój świat symboli, wzorów, norm i zachowań, który tworzył także kulturę, tyle że odrębną, inną, a nawet obcą tej, jaka stanowi zwyczajowy punkt odniesienia przy nazywaniu kogoś lub czegoś „kulturalnym”.

Bez statystycznego uzasadnienia stawia Władyka tezę, że w latach międzywojennych „coraz większą rolę zaczęły odgrywać dzienniki, zdobywając przewagę nad czasopismami” (s. 11). Z danych dotyczących ilościowej repartycji prasy polskiej tego okresu wynika jednak, że to właśnie czasopisma były grupą, która rozwinęła się najbardziej³. Także pod względem tempa wzrostu i zasięgu nakładów czasopisma co najmniej nie ustępowały dziennikom, a najwyższe nakłady jednorazowe osiągały miesięczniki i tygodniki, co było zresztą — i jest do dziś — raczej zjawiskiem typowym.

Tezę, której w innych miejscach autor sam zaprzecza, jest stwierdzenie, że „prasa popularna kierowała się wyłącznie jedną zasadą — maksymalnego zysku” (s. 13). Omawiane przez niego „Mały Dziennik” i „Orędownik” z pewnością kierowały się jeszcze innymi zasadami, a ponadto warto chyba też pamiętać, że nawet najbardziej krwawi i bezwzględni kapitaliści mogli mieć na uwadze (i miewali) także zasadę zysku optymalnego, który z reguły bywa wrogiem maksymalizmu.

Nie przekonuje też mnie stwierdzenie, że mechanizm modernizacyjny prasy sensacyjnej wystąpił w prasie amerykańskiej „na nie spotykaną nigdzie skalę” (s. 13). Wprawdzie rzeczywiście wiele amerykańskich rzeczy jest „naj..., naj..., naj...”, a wzory amerykańskie często były i są „niedościgłe”, niemniej akurat w przedmiocie tu poruszonym trudno dostrzec różnice jakościowe, nawet jeżeli źródło wielu pomysłów i chwytów dziennikarskich znajdowało się w Nowym Świecie.

Nie uzasadnił autor — a sądzę, że dlatego, iż uzasadnić nie mógł — tezy, że w Polsce „przedsiębiorczy menadżerowie próbowali lokować kapitały w inwestycjach prasowych” (s. 23). W zdecydowanej większości przypadków lokaty kapitałowe w prasie pochodziły z kieszeni ludzi już z prasą związanych, a wkłady napływające spoza środowiska chyba rzadko czynione były przez osoby liczące, że tą drogą kapitał swój powiększą. Jak z dotychczasowych badań wynika, w ogóle ilość kapitałów zewnętrznych wobec środowiska prasowo-wydawniczego była na rynku prasowym stosunkowo niewielka, a przynajmniej znaczna część istniejących weszła tu raczej z rachub politycznych, jako instrument nacisku, niż dla pomoczenia gotowizny. Ani kapitał górnośląski, którego plenipotentem był Wojciech Korfanty, ani udział Lewiatana w spółce „Kuriера Pulskiego”, ani grup ziemiańskich w „Dniu Polskim”, „Czasie” czy „Słowie”, ani środki przeznaczone z kieszy rządowej po 1926 r., ani okazały wkład I. J. Paderewskiego w dziennik „Rzeczpospolita” — nie miały, wiele na to wskazuje, cech inwestowania dla zys-

³ Wynika to z szacunków, które kiedyś opublikowałem (A. Paczkowski, *Prasa polska 1918—1939*, Warszawa 1980, s. 444—449), a które do dziś, o ile wiem, nie zostały podważone.

ku (choć oczywiście niemiłe było dla kapitałodawców, że musieli do większości tych interesów stale dokładać). Obawiam się także, że przy bliższej analizie okazałyby się, że ci spośród przedsiębiorczych menadżerów, którzy w dziennikach ulokowali swoje pieniądze, nie mieliby z kwotami, jakie wnosili, wiele do szukania na przemysłowym rynku kapitałowym, a alternatywą mogłoby być raczej założenie sklepu lub małej wytwórni niż stanie się władcą stali czy węgla. Niektóre z tych wycieczek menadżerskich w świat wydawniczy zakończyły się niepowodzeniem (jak np. przedstawiciele przemysłu naftowego i drzewnego z b. Galicji), a i to nie wiadomo, czy ich uczestnicy mieli na uwadze zyski finansowe, czy polityczne. Marian Dąbrowski był rzeczywiście świetnym menadżerem, prawdziwym kapitanem przemysłu, ale swoją firmę wydawniczą założył chyba dlatego, że był najpierw dziennikarzem.

Pisze autor, że „Mały Dziennik” „nie współistniał w ramach jakiegoś koncernu z innymi pismami, tak jak większość dzienników sensacyjnych” (s. 91) — rzeczywiście klasztor oo. franciszkanów w Niepokalanowie trudno uznać za koncern. Ale w tymże samym klasztorze, w dodatku z inicjatywy tej samej osoby, ukazywały się dwa miesięczniki i kalendarz — wszystkie należące do czołówki pod względem osiąganych nakładów: „Rycerz Niepokalanej” sięgał w końcu lat trzydziestych 700—800 tys. egz. co miesiąc, „Kalendarz Rycerza Niepokalanej” drukowany był w tym okresie w nakładach dochodzących do miliona egzemplarzy. Jakkolwiek pióro może wzdragać się przed uznaniem dzieła poczętego z uczuć religijnych za koncern, *de facto* wydawniczy ośrodek założony przez św. o. Maksymiliana funkcjonował *grosso modo* na podobnych zasadach organizacyjnych co normalne koncerny prasowe.

Rzeczywiście miewamy do czynienia z sytuacjami, w których rzucanie czytelnikowi prasy białych sensacyjek może mieć za cel „odciągnięcie od myśli nad istotnie dlań i dla społeczeństwa ważnymi kwestiami” (s. 153, cytata z znanej pracy Henryka Jabłońskiego, przyjęty bez zastrzeżeń przez W. Władykę). Jest to oczywiście stary „jak świat”, przynajmniej jak nasz, grecko-rzymski świat, sposób pacyfikowania umysłów. Powstaje jednak pytanie, czy całkowicie jest uzasadnione przywoływanie go w kontekście tych konkretnych dzienników, które autor omawia, a przede wszystkim w kontekście prasy sensacyjnej Polski międzywojennej? Mam poważne obawy co do słuszności zastosowania tego uogólnienia; choć oczywiście pozwala ono „lepiej zrozumieć” złożoną rzeczywistość, w istocie wszakże nie rozumieć, a sklasyfikować, zaszufładkować, opatrzyć etykietką. Religia może być „opium dla mas”, ale nie zawsze musi być tym narkotykiem i nie zawsze bywa. Fakt, że ktoś uważa, iż największym wrogiem Polski są Żydzi, nie musi wynikać z tego, że chce w ten sposób osłonić „antynarodową postawę klas posiadających”, ale z tego, że tak właśnie, a nie inaczej widzi świat. Trudno byłoby też dowieść, że Butkiewiczowi czy Dąbrowskiemu chodziło o skierowanie zainteresowań publiczności na boczne, sensacyjne tory, aby ukryć za morzem „krwi na pierwszej stronie” nadużycia i bezprawia sanacji. To raczej w państwach totalitarnych środki masowego przekazu wykonują w pełni świadome działania maskujące, a możliwe to jest m.in. dzięki koncentracji władzy i monopolu informacyjnego. Nie brakło w Drugiej Rzeczypospolitej chętnych do zdobycia takiego monopolu, ale go nie uzyskali.

Twierdzi Władyka, że czytelnictwo literatury obiegu brukowego „już przed 1914 r. zaczęło się obniżać i stan ilościowy tytułów i nakładów w połowie lat dwudziestych był skromny” (s. 231). Co do skromności — zgoda, ale co do tendencji — nie. Badania nad literaturą tego typu i jej funkcjonowaniem nie są wprawdzie jeszcze zakończone, ale już na tyle zaawansowane, że na podstawie dotychczasowych prac dokumentacyjnych można stwierdzić, iż nie było tendencji spadkowej (przynajmniej w liczbach bezwzględnych). Bibliografia powieści zeszy-

towych — a więc klasycznego gatunku tego obiegu — sporządzona przez Janusza Dunina i Krystynę Mierzwiankę⁴, pozwala stwierdzić, że do roku 1914 opublikowano w Polsce (i dla Polski) 77 tytułów, zaś w latach 1918—1939 ogłoszono drukiem 124. Jest oczywiście kwestią otwartą, jak wyglądał udział różnych „dwuhalerzówek” w całości polskiej produkcji wydawniczej przed i po 1918 r., wydaje się jednak, że tempo ich przyrostu niewiele odbiegało od ogólnego tempa przyrostu ilości tytułów wydawnictw książkowych: Maria Czarnowska notuje dla roku 1913 opublikowanie na ziemiach polskich 3410, a dla roku 1938 — 6017 tytułów⁵.

Mam nadzieję, że po tych kilku stronach krytycznych uwag czytelnik nie weźmie mi za złe naglej wolty, którą chcę swoją ocenę pracy Wiesława Władyki zakończyć: jest to książka bardzo cebra, napisana starannym językiem, odwołująca się do nowoczesnej aparatury pojęciowej, skonstruowana klarownie i konsekwentnie. Wchodzi autor odważnie — i w znacznym stopniu celnie — na tereny badawcze nieomalże wcale jeszcze nie ruszone, porusza się po nich pewnie, choć oczywiście nie był w stanie podbić ich za jednym zamachem. Nie tylko w partiach ogólnych, ale także w opisie i w egzemplifikacjach widać, że świadom jest charakteru materii, którą bada, że nie działa po omacku. Swoją pracą i inwencją otworzył bardzo wiele tematów, wskazał kierunki poszukiwań — a w wielu przypadkach podał nawet ich ton.

Andrzej Paczkowski

Oskar Stanisław Czarnik, *Proza artystyczna a prasa codzienna 1918—1926*, Wrocław 1982, ss. 305.

Praca Oskara S. Czarnika, obejmująca opisem i analizą 30 polskich gazet w latach 1918—1926 i, z kolei, na łamach tych pism ponad 4600 pozycji beletrystycznych, wśród nich 227 powieści, jest rozprawą o dużych walorach: metodologicznych, dokumentacyjnych i metodycznych. W nowej i dynamicznej dyscyplinie, jaką stały się w naszym piśmiennictwie badania nad kulturą literacką, zainspirowane teoretycznie i przedmiotowo przede wszystkim pracami Stefana Żółkiewskiego, książka O. Czarnika — pomysłowa, erudycyjna, systematyczna — stanowi wzorcową realizację konstruowania, argumentowania i użytkowania teorii średniego zasięgu.

Wśród instytucji i instancji współokreślających typ i style kultury literackiej w jednym ze społeczeństw dwudziestowiecznych, nacechowanym szczególną historycznością, z pełną samokontrolą i z wiedzą o rozległych kontekstach, wybiera autor precyzyjnie i konsekwentnie pole badań — wymierne, choć nie hermetyczne. Ustanawia je, podobnie jak narzędzia badań, w procesie wielokrotnych

⁴ J. Dunin, K. Mierzwianka, *Polska powieść zeszytowa. Materiały bibliograficzne*, Wrocław 1979, s. 70.

⁵ M. Czarnowska, *Ilościowy rozwój polskiego ruchu wydawniczego 1501—1965*, Warszawa 1967, s. 173. Ponieważ cenię sobie wydawnictwo „Czytelnik”, więc nie chcąc kłaść zasadniczego tekstu recenzji wybrzydzeniem, korzystam z ostatniego przypisu, by zganić absolutnie nieracjonalną oszczędność, jaką było pozabawienie książki W. Władyki indeksu nazwisk. Mam nadzieję, że nie jest to trwała zdobycz systemu „trzech S”!